

# Juliusz Verne

## Dramat w Meksyku

czyli pierwsze okręty marynarki meksykańskiej

*Tytuł oryginału francuskiego:*

*Un drame au Mexique*

*Les premiers navires de la marine mexicaine*

**Tłumaczenie:**

**BARBARA SUPERNAT (2003)**

Sześć ilustracji Jules-Descartesa Férata  
zaczepnięto z XIX-wiecznego wydania francuskiego.

Natronie tytułowej okręt wojenny z 1850 roku.

## SPIS TREŚCI

Wstęp.....	3
I <i>Z wyspy Guajan do Acapulco</i> .....	4
II <i>Z Acapulco do Cigualan</i> .....	10
III <i>Z Cigualan do Taxco</i> .....	14
IV <i>Z Taxco do Cuernavaca</i> .....	17
V <i>Od Cuernavaca do Popocatepetl</i> .....	21
Przypisy.....	25

## Wstęp (pochodzi z wydania broszurowego)

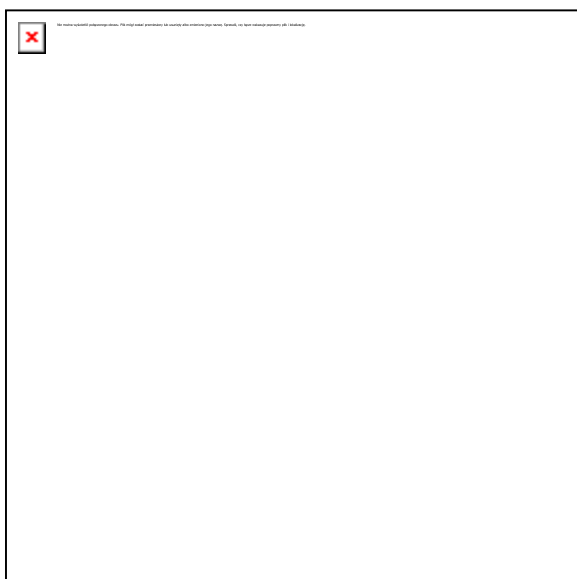
Prezentowane w niniejszym tomie *Biblioteki Andrzeja* opowiadanie pt. *Dramat w Meksyku* trafia do rąk polskiego czytelnika po raz drugi. Jednak z co najmniej kilku powodów edycję tę można uznać za premierową. Pierwszy i jednocześnie ostatni raz bowiem utwór ten został opublikowany w 1877 r. Ukazywał się w odcinkach w czasopiśmie *Przyjaciel Dzieci*. Autorką przekładu była Joanna Belejowska, znana z tłumaczeń, często niepełnych, jeszcze wielu innych pozycji Verne'a. Obecne wydanie natomiast jest pierwszą edycją „książkową” tego opowiadania, wzbogaconą w dodatku o oryginalne, XIX-wieczne ilustracje. Tekst ukazuje się też w nowym, pełnym tłumaczeniu.

*Dramat w Meksyku* należy do grona wczesnych utworów Verne'a. Napisany został w 1850 r., a więc na długo przed pierwszą powieścią z cyklu *Niezwykłych podróży*, czyli *Pięcioma tygodniami w balonie* (1863). W opowiadaniu tym widać już jednak wyraźnie kierunek, w którym Verne będzie podążał w całej swojej dalszej twórczości, tj. pragnienie popularyzacji wiedzy, głównie z takich dziedzin jak geografia, nauki przyrodnicze, a nawet antropologia. W niektórych partiach tekstu pojawiają się miniwykłady o wyraźnym zacięciu popularyzatorsko-edukacyjnym, niekiedy wmontowane w narrację w sposób nieco sztuczny, zważywszy na niewielkie rozmiary utworu oraz dominującą w nim żywą akcję. W późniejszych powieściach, dających autorowi szersze pole do popisu, nie będą one już tak razić.

Oprócz owych nowatorskich tendencji znaleźć też można w *Dramacie w Meksyku* wiele cech typowych dla wczesnej twórczości Verne'a, tj. swoistą dramaturgię rodem ze sztuk teatralnych, od których zaczęła się pisarska kariera autora *Tajemniczej wyspy*, pewną schematyczność (np. zakończenie utworu w pewnym sensie powielił motyw wykorzystany w napisanym rok wcześniej opowiadaniu pt. *Martin Paz*), a także fascynację atmosferą grozy, napięcia, tajemniczości, wywodzącą się niewątpliwie z utworów Edgara Poe'go, którego Verne był zagorzałym wielbicielem.

Abstrahując od widocznych w tekście inspiracji i motywów, należy przyznać, iż opowiadanie potrafi czytelnika zafrapować i zapewnić interesującą lekturę aż do ostatniej strony.

Krzysztof Czubaszek



## I

### *Z wyspy Guajan do Acapulco*

Osiemnastego października 1825 roku *Azja*, hiszpański okręt wojenny oraz *Constanzia*, bryg o ośmiu działach, zatrzymały się dla odpoczynku na Guajan, jednej z wysp należącej do archipelagu Marianów. Sześć miesięcy po tym, jak te statki opuściły Hiszpanię, ich załogi, źle żywione, kiepsko opłacane, wyczerpane ze zmęczenia, przygotowywały po kryjomu plany buntu. Oznaki braku dyscypliny dało się wyraźnie zauważyć szczególnie na pokładzie *Constanzii*, dowodzonej przez kapitana don Ortewę, człowieka z żelaza, którego nic nie było w stanie ugiąć. Bryg zatrzymywały w czasie tego rejsu pewne poważne uszkodzenia, do tego stopnia nieoczekiwane, tak bardzo nieprzewidziane, że można je było przypisać jedynie jakimś złym zamiarom. *Azja*, dowodzona przez don Roque de Guzuarte'a, była zmuszona zatrzymać się na postój razem z brygiem. Jednej nocy – nie wiadomo w jaki sposób – strzaskał się kompas. Podczas innej – zniknęły wanty przedniego masztu, jakby zostały odcięte, i maszt przewrócił się z całym swoim wyposażeniem. Na koniec, w trakcie wykonywania skomplikowanego manewru, dwa razy zerwały się łańcuchy poruszające sterem.

Wyspa Guajan, podobnie jak całe Mariany, podlegała kapitanatowi generalnemu Wysp Filipińskich. Hiszpanie, będąc tam gospodarzami, mogli szybko naprawić awarie.

Podczas tego przymusowego pobytu na lądzie don Orteva powiadomił don Roque'a o rozprężeniu, jakie zauważył na swoim statku, i obaj kapitanowie postanowili podwoić czujność i dyscyplinę.

Don Orteva miał szczególnie zwracać uwagę na dwóch ludzi ze swojej załogi, to jest porucznika Martineza i marynarza Josego.

Porucznik Martinez, skompromitowany udziałem w tajnych naradach załogi w kubryku na przednim pomoście, kilka razy został skazany na areszt. W czasie jego nieobecności w obowiązkach pierwszego oficera *Constanzii* zastępował go kadet Pablo. Jeśli idzie o marynarza Josego był to człowiek nikczemny i godny pogardy, który ważył uczucia tylko na wagę złota. Zdawał też sobie sprawę, że jest obserwowany przez bosmana Jacopa, człowieka uczciwego, do którego don Orteva miał absolutne zaufanie.

Kadet Pablo był jedną z tych natur wyśmienitych, otwartych i odważnych, których szlachetność prowadzi do wielkich rzeczy. Sierota, przygarnięty i wychowany przez kapitana don Ortewę, dałby się zabić dla swojego dobroczyńcy. W czasie długich rozmów prowadzonych z bosmanem Jacopem pozwalał sobie, ogarnięty żarem młodości i uniesieniem swojego serca, mówić o swoich synowskich uczuciach, jakie żywił do kapitana Ortevy. Zaczynał Jacopo ścisnąć mu mocno dłoń, bo dobrze rozumiał to, co kadet czuł i o czym tak pięknie mówił. Tak więc don Orteva miał dwóch oddanych sobie ludzi, na których mógł całkowicie liczyć. Ale cóż mogli zdziałać w trzech przeciw gwałtownym namiętnościom rozzuchwalonej załogi? Mimo że cały czas, dzień i noc, starali się zapanować nad duchem niezgody, Martinez, Jose i inni marynarze coraz bardziej dążyli do buntu i zdrady.

Dzień poprzedzający podniesienie kotwicy porucznik Martinez spędził w jednym z najgorszych szynków na wyspie Guajan, wraz z kilkoma bosmanami i dwudziestką marynarzy z obu okrętów.

– Towarzysze – powiedział Martinez – dzięki awariom, które zdarzyły się we właściwym czasie, bryg i okręt wojenny musiały zatrzymać się na Marianach, a ja mogłem przybyć tu, aby potajemnie z wami porozmawiać!

– Brawo! – odezwali się jednym głosem zgromadzeni.

– Proszę mówić, panie poruczniku! – krzyknęło kilku marynarzy. – Chcemy poznać pański projekt!

– Oto mój plan – odrzekł Martinez. – Kiedy tylko zawładniemy obydwoma okrętami, skierujemy się ku brzegom Meksyku. Wiecie zapewne, że nowa Konfederacja nie posiada marynarki wojennej. Kupi więc nasze okręty z zamkniętymi oczami i tym sposobem nie tylko otrzymamy zaległe wynagrodzenie, ale także równo podzielimy między wszystkich nadwyżkę osiągniętą ze sprzedaży.

– To nam odpowiada!

– Co będzie sygnałem do jednoczesnego rozpoczęcia działań na pokładach obu statków? – zapytał marynarz Jose.

– Raca wystrzelona z *Azji* – odrzekł Martinez. – Wszystko będzie trwało jedną chwilę! Jest nas dziesięciu na jednego, więc zanim oficerowie brygu i okrętu się spostrzegą, już będą więźniami.

– Gdzie i kiedy będzie dany ten sygnał? – zapytał jeden z bosmanów *Constanzii*.

– Za kilka dni, jak tylko znajdziemy się na wysokości wyspy Mindanao.

– Ale czy Meksykanie nie przyjmą naszych statków pociskami z dział? – wyraził wątpliwość marynarz Jose. – Jeśli się nie mylę, Konfederacja wydała dekret, który nakazuje kontrolę wszystkich statków hiszpańskich. Może tak się stać, że zamiast złota, zasypią nas żelazem i ołowiem!

– Nie martw się tym, Jose! Zostaniemy rozpoznani, i to z daleka – odparł Martinez.

– Jakim sposobem?

– Podnosząc na naszych bezangafkach flagę Meksyku.

Mówiąc to, porucznik Martinez rozwinął na oczach buntowników zielono-biało-czerwoną flagę.

Ponurym milczeniem przyjęto ukazanie się tego symbolu niepodległości meksykańskiej.

– Już żałujecie barw Hiszpanii? – zawołał drwiącym tonem porucznik. – A więc dobrze! Niech ci, którzy odczuwają wyrzuty sumienia, odłączą się od nas i popłyną pod wiatr, pod rozkazy kapitana don Ortevy lub komendanta don Roque'a! Natomiast my, którzy nie chcemy być już im posłuszni, potrafimy zmusić ich do uległości!

– Tak jest! Tak jest! – odwrzasnęli jednym głosem wszyscy zgromadzeni.

– Towarzysze! – mówił dalej Martinez. – Nasi oficerowie zamierzają, wykorzystując wiejące pasaty, popłynąć ku Wyspom Sundajskim; ale my im pokażemy, że i bez nich potrafimy popłynąć lewym czy prawym halssem, nie zważając na monsuny szalejące na Pacyfiku!

Marynarze, którzy byli obecni podczas tej tajnej narady, rozeszli się po tym oświadczeniu i różnymi drogami powrócili na swoje okręty.

Nazajutrz o świcie *Azja* i *Constanzia* podniosły kotwice i, obierając kurs na południowy zachód, skierowały się pod pełnymi żaglami ku Nowej-Holandii. Porucznik Martinez podjął swoje czynności, ale zgodnie z rozkazami kapitana Ortevy był bacznie obserwowany.

Niemniej jednak don Orteva ogarnięty był ponurymi przecuciami. Rozumiał, jak bardzo nieuchronny był upadek marynarki hiszpańskiej, jak niesubordynacja prowadziła do jej zguby. Poza tym jego patriotyzm nie pozwalał mu pogodzić się z kolejno następującymi po sobie nieszczęściami spadającymi na jego ojczyznę, których dopełnienie stanowiła rewolucja stanów meksykańskich. Czasami dyskutował z kadetem Pablem o tych poważnych problemach, szczególnie jeśli dotyczyły dawnego panowania floty hiszpańskiej na wszystkich morzach świata.

– Moje dziecko! – powiedział mu któregoś dnia. – Wśród naszych marynarzy nie ma już dyscypliny. Oznaki buntu są szczególnie widoczne na moim statku i może się zdarzyć – takie mam przecucie – że wskutek jakiejś haniebnej zdrady postradam życie! Ale ty mnie pomścisz, nieprawdaż? Pomścisz też zarazem Hiszpanię, którą chcą osiągnąć, we mnie uderzając!

– Przysięgam, że to uczynię, kapitanie Orteva! – odrzekł Pablo.

– Nie rób sobie wroga z nikogo na brygu, ale zapamiętaj sobie, moje dziecko, że tego dnia, w chwili nieszczęścia, najlepszym sposobem służenia swojemu krajowi jest najpierw uważnie obserwować, a jeżeli to możliwe, ukarać nędzników, którzy chcą go zdradzić!

– Obiecuję, że umrę, tak!, że, jeśli będzie trzeba, poświęcę życie, aby ukarać zdrajców!  
– zapewnił kadet.

Minęły trzy dni od czasu kiedy okręty opuściły Mariany. *Constanzia*, korzystając z umiarkowanego wiatru, płynęła pełnym baksztagiem. Wysmukły, pełen wdzięku, szybki bryg, z masztami pochylonymi do tyłu, sunął po powierzchni morza, podskakując na falach, które pianą okrywały jego osiem sześćofuntowych karonad.

– Dwanaście węzłów, poruczniku – powiedział tego wieczora kadet Pablo do Martineza. – Jeśli dalej będziemy tak szybko płynąć, mając wiatr pod rejami, podróż nie będzie długa.

– Bóg tego chce, ponieważ tyle już znieśliśmy i byłby czas, aby nasze cierpienia wreszcie się skończyły!

W tym czasie marynarz Jose stał przy tylnym pomoście i słuchał słów porucznika.

– Wkrótce powinniśmy dostrzec ziemię na horyzoncie – powiedział głośno Martinez.

– Wyspę Mindanao – odrzekł kadet. – W samej rzeczy, bowiem znajdujemy się pod sto czterdziestym stopniem długości zachodniej i ósmym stopniem szerokości północnej i o ile się nie mylę, ta wyspa leży pod...

– Sto czterdziestym stopniem i trzydziestoma dziewięcioma minutami długości i siódmym stopniem szerokości – dokończył szybko Martinez.

Jose podniósł głowę i, uczyniwszy słabo dostrzegalny gest, poszedł na przód statku.

– Pełni pan dzisiaj wachtę od północy, Pablo? – zapytał Martinez.

– Tak, poruczniku.

– Jest szósta wieczorem, więc nie zatrzymuję pana.

Pablo oddalił się.

Martinez pozostał sam na mostku i skierował spojrzenie na *Azję*, która żeglowała na zawietrznej od brygu. Wieczór był wspaniały i zapowiadał jedną z tych nocy podzwrotnikowych, tak spokojnych i orzeźwiających.

W zapadających ciemnościach porucznik szukał wzrokiem ludzi z wachty. Rozpoznał Josego i tych z marynarzy, z którymi rozmawiał na wyspie Guajan.

W chwilę później podszedł do człowieka stojącego przy sterze. Cichym głosem rzucił mu kilka słów i to było wszystko.

Niemniej jednak można było zauważyć, że ster został ustawiony tak, aby statek płynął bardziej z pełnym wiatrem, i tym sposobem bryg zaczął nieznacznie zbliżać się do okrętu wojennego.

Wbrew zwyczajom panującym na pokładzie statku Martinez chodził nerwowo na zawietrznej, aby lepiej obserwować *Azję*. Niespokojny, wzburzony, ścisnął w rękę tubę.

Nagle na pokładzie okrętu wojennego rozległ się huk.

Na ten sygnał Martinez podbiegł do stanowiska oficera wachtowego i donośnym głosem krzyknął:

– Wszyscy na pokład! Zwinąć dolne żagle!

W tym momencie don Orteva, w towarzystwie swoich oficerów, wyszedł z rufówki i, zwracając się do porucznika, zapytał:

– Co znaczy ten manewr?

Nie odpowiedziawszy, Martinez opuścił stanowisko wachtowe i pobiegł na przedni mostek.

– Ster na zawietrzną! – rozkazał. – Do brasów lewej burty! Brasować! Poluzować szoty foka!

W tym momencie na pokładzie *Azji* rozległy się nowe detonacje.

Załoga posłusznie wykonywała rozkazy porucznika, a bryg, płynąc szybko na wiatr, stanął nagle nieruchomy, mając jedynie rozwinięty, obecnie nieczynny, górny marsel.

Don Orteva, zwracając się do kilku ludzi, którzy zgromadzili się wokół niego, krzyknął:

– Do mnie przyjaciele!

A zbliżając się do Martineza, rozkazał:

– Aresztować tego oficera!

– Śmierć kapitanowi! – zawołał Martinez.

Pablo i dwaj oficerowie wzięli w ręce szpady i pistolety. Kilku marynarzy, z Jacopem na czele, rzuciło się im na pomoc, ale, otoczeni przez buntowników, zostali rozbrojeni i pozbawienie możliwości działania.

Żołnierze marynarki i załoga zajęli całą szerokość statku i posuwali się w kierunku oficerów. Ludzie oddani dowódcom, osaczeni na rufówce, mieli tylko jedno wyjście: rzucić się na buntowników.

Don Orteva skierował lufę pistoletu na Martineza.

W tym momencie z pokładu *Azji* wystrzeliła rakietka.

– Zwyciężyliśmy! – krzyknął Martinez.

Kula don Ortevy minęła cel.

Następujące po tym zdarzenie trwało zaledwie kilka chwil. Kapitan zaatakował porucznika wręcz, lecz wobec przeważającej liczby nacierających, będąc ciężko ranny, poddał się swemu przeciwnikowi. Chwilę później inni oficerowie podzielili jego los.

Wtenczas na brygu zapalono i wciągnięto na górę latarnie, odpowiadając tym samym na sygnały dawane z *Azji*. Bunt wybuchł i zatriumfował również na okręcie wojennym.

Porucznik Martinez stał się zatem panem *Constanzii*. Więźniów brutalnie wrzucono do kajuty, w której odbywano narady.

Ale na widok krwi w marynarzach ożyły dzikie instynkty. Nie wystarczyło im zwycięstwo, oni chcieli mordować.

– Zabijmy ich! – krzyczało wielu z tych szaleńców. – Na śmierć! Tylko martwi nic nie powiedzą!

Porucznik Martinez, na czele krwiożerczych buntowników, ruszył w stronę kabiny narad, ale reszta załogi sprzeciwiła się tej masakrze i oficerowie zostali uratowani.

– Przeprowadzić don Ortewę na pokład! – zarządził Martinez.

Rozkaz wykonano.

– Orteva – powiedział Martinez – teraz ja dowodzę dwoma statkami. Podobnie jak ty, don Roque stał się moim więźniem. Jutro pozostawimy was obu na bezludnym lądzie. Następnie skierujemy się do portów Meksyku, a te okręty zostaną sprzedane rządowi republikańskiemu.

– Zdrajca! – odrzekł don Orteva.

– Postawić dolne żagle i płynąć bajdewindem ostro do wiatru! A tego człowieka przywiązać do rufówki! – rozkazał porucznik i wskazał na don Ortewę.

Rozkaz wykonano.

– Pozostali na dno ładowni. Zwrot na wiatr! Wykonać! Śmiało, towarzysze!

Manewr został szybko wykonany. Od tej chwili kapitan don Orteva znalazł się na zawietrznej stronie statku, ukryty poza bezanem. Można było usłyszeć jeszcze jak nazywa swojego porucznika „nikczemnikiem” i „zdrajcą”!

Martinez, nie panując nad sobą, z siekierą w rękę, rzucił się na rufę. Nie pozwolono mu zbliżyć się do kapitana, lecz silnym ciosem zdołał przeciąć szoty bezanu. Bom, gwałtownie popchnięty przez wiatr, uderzył w don Ortewę i roztrzaskał mu czaszkę.

Po brygu przeleciał okrzyk przerażenia.

– Przypadkowa śmierć! – stwierdził porucznik Martinez. – Rzucić zwłoki do morza!

Jak zwykle rozkaz został wykonany.

Oba statki, płynąc bardzo blisko siebie, ruszyły w dalszą drogę, zmierzając ku meksykańskiemu brzegom.

Następnego dnia spostrzeżono na trawersie jakąś wysepkę. Z *Azji* i *Constanzii* spuszczone na wodę szalupy i oficerowie – z wyjątkiem kadeta Pabla i bosmana Jacopa, którzy oddali się pod rozkazy porucznika Martineza – zostali porzuceni na tym bezludnym

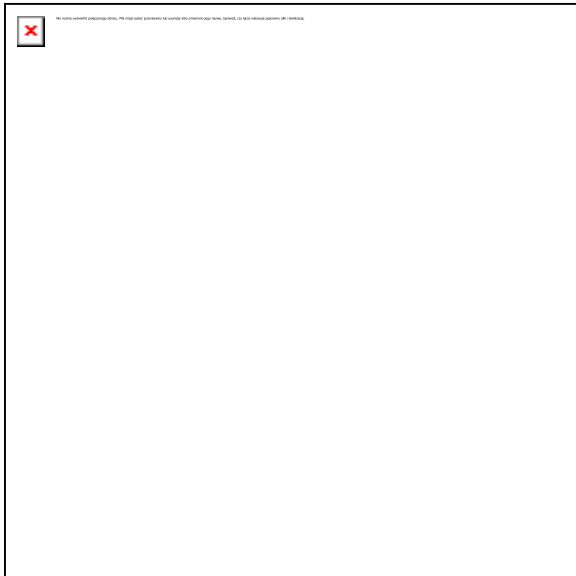


wybrzeżu. Ale kilka dni później, szczęśliwie dla nich, zostali zabrani przez angielski statek wielorybiczny i przewiezieni do Manili.

Jak to się stało, że Pablo i Jacopo przeszli na stronę buntowników? Aby ich osądzić, trzeba poczekać na rozwój wypadków.

Kilka tygodni później oba okręty stanęły na kotwicach w Zatoce Monterey, położonej w północnej części właściwej Kalifornii. Martinez zawiadomił wojskowego komendanta portu o swoich zamierzeniach, a mianowicie o chęci przekazania Meksykowi, pozbawionemu floty wojennej, dwóch hiszpańskich okrętów wraz z wyposażeniem, uzbrojeniem wojennym, jak również oddania załóg tych statków do dyspozycji Konfederacji. W zamian za to miała ona im spłacić wszelkie zaległości, jakie narosły od czasu wypłynięcia z Hiszpanii.

Odpowiadając na te wstępne propozycje, gubernator wyjaśnił, że nie posiada wystarczających upoważnień do pertraktacji. Doradził wtenczas Martinezowi, aby udał się do Meksyku, gdzie osobiście będzie mógł tę sprawę spokojnie doprowadzić do końca. Porucznik posłuchał tej rady i po miesiącu oddawania się różnym przyjemnościom, pozostawiwszy *Azję* w Monterey, wyruszył w morze na *Constanzii*. Pablo, Jacopo i Jose znajdowali się wśród załogi brygu, który, płynąc pełnym baksztagiem, rozwinął wszystkie żagle, aby jak najszybciej dotrzeć do portu Acapulco.



## II

### *Z Acapulco do Cigualan*

Z czterech portów, jakie Meksyk posiada na Pacyfiku: San Blas, Zacatula, Tehuantepec i Acapulco, ten ostatni najwięcej może zaoferować przebywającym w nim statkom. To prawda, że samo miasto jest niezdrowe i źle zbudowane, ale duża i bezpieczna reda mogłaby spokojnie przyjąć sto okrętów. Ze wszystkich stron chroniona jest przez wysokie, urwiste brzegi, tworzące basen tak spokojny, iż cudzoziemcowi przybywającemu od strony lądu mogłoby się wydawać, że widzi jezioro otoczone górskim łańcuchem.

W tym okresie Acapulco było chronione trzema bastionami, otaczającymi go z prawej strony, podczas gdy cieśniny broniła bateria z siedmioma działami, które w razie potrzeby mogły prowadzić ogień krzyżujący się pod kątem prostym z ogniem prowadzonym z fortu San Diego. Fort San Diego, wyposażony w trzydzieści dział artyleryjskich, panował nad całą redą, mogąc zatopić skutecznie każdy okręt próbujący sforsować wejście do portu.

Miasto nie miało się więc czego obawiać, a jednak trzy miesiące po opisanych wyżej wypadkach zapanowała w nim powszechna panika. Na otwartym morzu bowiem zasygnalizowano okręt. Bardzo zaniepokojeni zamiarami podejrzanego statku, mieszkańcy Acapulco nie czuli się całkowicie bezpieczni. Młode państwo związkowe ciągle obawiało się, i to nie bez podstaw, powrotu hiszpańskiego panowania! Niezależnie od umów handlowych podpisanych z Wielką Brytanią, pomimo przybycia *chargé d'affaires* z Londynu i uznania przez niego republiki, rząd meksykański nie miał do swojej dyspozycji ani jednego statku dla obrony swoich wybrzeży!

W każdym razie statek ten mógł być tylko śmiałym zuchwalcem, a północno-wschodnie wiatry, które mocno wieją w tej okolicy od jesienno-przesilenia aż do wiosny, musiały silnie napierać na liki jego żagli! Tak więc mieszkańcy Acapulco nie wiedzieli, czego się spodziewać, przeto na wszelki wypadek przygotowali się do zejścia obcych na ląd. Wówczas ten tak bardzo podejrzany statek rozwinął na swoim maszcie sztandar meksykańskiej niezależności!

Po dotarciu do połowy zasięgu artylerii portu *Constanzia*, którą to nazwę można było wyraźnie odczytać na pawęży, natychmiast rzuciła kotwicę. Zwinięto żagle na rejach i spuszczone łódź, która wkrótce dopłynęła do portu.

Porucznik wysiadł szybko, udał się do gubernatora i poinformował go o okolicznościach, które go tutaj sprowadziły. Gubernator pochwalił decyzję porucznika o udaniu się do Meksyku dla otrzymania od generała Guadalupe Victorii, prezydenta Konfederacji, zatwierdzenia sprzedaży. Zaledwie ta wiadomość rozeszła się po mieście, zewsząd rozległy się okrzyki radości. Wszyscy mieszkańcy przyszli podziwiać pierwszy okręt marynarki meksykańskiej, widząc zarazem w fakcie jego zdobycia dowód na brak dyscypliny we flocie hiszpańskiej i sposób na jeszcze pełniejsze przeciwstawienie się każdej nowej próbie odzyskania władzy przez ich dawnych panów.

Martinez wrócił na pokład. Kilka godzin później bryg *Constanzia* stanął w porcie na dwóch kotwicach, a jego załoga goszczona była przez mieszkańców Acapulco.

Lecz gdy porucznik zebrał z powrotem swoich ludzi, okazało się, że Pablo i Jacopo zniknęli.

Meksyk odróżnia się od wszystkich innych krajów kuli ziemskiej z powodu swego centralnego położenia na rozległym i wysokim płaskowyżu. Łańcuch górski Kordylierów, znany ogólnie jako Andy, ciągnie się przez całą Amerykę Południową, przecina Gwatemalę i, dochodząc do Meksyku, dzieli się na dwa pasma, które równolegle z obu stron urozmaicają krajinę. Zresztą te dwa odgałęzienia są jedynie dwoma zboczami olbrzymiej wyżyny Anahuac, położonej dwa tysiące pięćset metrów ponad poziomem sąsiadujących z nią mórz. Ten ciąg płaskowyżów, znacznie bardziej rozciągniętych a równie jednostajnych jak peruwiańskie i Nowej Grenady, zajmuje około trzy piąte kraju. Kordyliery, wdzierając się w dawną jednostkę administracyjną Meksyk, przybierają nazwę „Sierra Madre”, a rozdzieliwszy się na trzy rozgałęzienia na wysokości miast San Miguel i Guanaxato, ciągną się dalej i zanikają dopiero na pięćdziesiątym siódmym stopniu szerokości północnej.

Pomiędzy portem Acapulco i miastem Meksyk, odległymi od siebie o osiemdziesiąt mil, zmiany ukształtowania nie są tak gwałtowne a pochyłości mniej strome niż pomiędzy Meksykiem i Veracruz. Po przejściu masywu granitu, który jest widoczny w odnogach sąsiadujących z wielkim Oceanem, i w którym jest wycięty port Acapulco, podróżujący napotyka jedynie skały porfirowe, którym przemysł wydziera gips, bazalt, wapień, ołów, miedź, żelazo, srebro i złoto. Oprócz tego droga z Acapulco do Meksyku oferuje wspaniałe punkty widokowe oraz układy bardzo szczególnej roślinności, na które zwracali, albo i nie zwracali uwagi, dwaj jeźdźcy, jadący jeden obok drugiego, kilka dni po zakotwiczeniu brygu *Constanzia* w Acapulco.

Byli to Martinez i Jose. Marynarz doskonale znał tę drogę. Już tyle razy przemierzył góry Anahuac! Nawet indiański przewodnik, którego im zaproponowano, został odprawiony i dwaj awanturnicy, dosiadając doskonałych koni, kierowali się szybko ku stolicy Meksyku.

Po dwóch godzinach szybkiego klusa, który nie pozwalał im na prowadzenie rozmowy, jeźdźcy zatrzymali się.

– Jedźmy stępa, poruczniku – odezwał się Jose, cały zasapany. – *Santa Maria!* Wolałbym przez dwie godziny jechać konno po bombramrei w czasie uderzenia północno-zachodniego wiatru!

– Śpieszmy się! – odrzekł Martinez. – Znasz dobrze drogę, Jose, dobrze ją znasz, co?

– Tak jak pan zna drogę z Kadyksu do Veracruz. Nie napotkamy tutaj sztormów panujących w zatoce ani przybojów koło Taspan czy Santader, które by nas mogły zatrzymać!... Ale jedźmy wolniej!

– Przeciwnie, szybciej! – odparł Martinez, pobudzając konia ostrogami. – Niepokoi mnie to zniknięcie Pabla i Jacopa! Czyżby chcieli sami skorzystać na tej sprzedaży i ukraść naszą część?

– Na świętego Jakuba! Tylko tego by brakowało! – cynicznie odparł marynarz. – Okraść takich złodziei jak my!

– Ile dni potrzebujemy, aby dotrzeć do Meksyku?

– Cztery do pięciu, poruczniku! To zwykły spacer! Ale jedźmy wolniej! Widzi pan przecież, że teren powoli się wznosi!

Istotnie, można było na tej długiej równinie zobaczyć pierwsze oznaki zbliżających się gór.

– Nasze konie nie są podkute i ich kopyta szybko zedrą się na tych granitowych skałach! – rzekł marynarz, zatrzymując się. – Mimo wszystko nie mówmy źle o tym gruncie!... Pod spodem jest złoto, panie poruczniku, i to, że po nim depczemy, nie oznacza, że nim pogardzamy!

Dwaj podróżni przybyli na małe wzniesienie, doskonale ocienione palmami wachlarzowatymi, nopalami i szaławiami meksykańskimi. U ich stóp rozpościerała się rozległa uprawna równina. Przed oczami mieli całą bujną roślinność gorących krain. Widok ten od lewej strony obcinał las drzew mahoniowych. Wytworne pieprzowce kołysały swoimi gałęziami wystawionymi na gorące podmuchy od Oceanu Spokojnego. Na dole ciągnęły się pola trzciny cukrowej. Wspaniałe łąny bawełny bezszelestnie poruszały swoimi siwymi, jedwabistymi pióropuszcami. Tu i ówdzie pokazywały się powoje lub wilce, kolorowe papryki, indygowce, kakaowce, drzewa kampekowe i gwajakowe. Wszelkie tak urozmaicone wytwory tropikalnej flory – dalie, mentzelie, słoneczniki – upiększały wszystkimi kolorami tęczy te cudowne tereny, najbardziej urodzajne z całej prowincji meksykańskiej.

Tak! Cała ta piękna przyroda wydawała się ożywiać pod palącymi promieniami słońca. Natomiast nieszczęśni mieszkańcy w tym nieznośnym upale zwijali się z bólu w objęciach żółtej febry! Dlatego też w zamarych i opuszczonych wioskach brak było gwaru i ruchu.

– Co to za stożek wznosi się przed nami na horyzoncie? – spytał Martinez Josego.

– Stożek Brea, który zaledwie wyłania się z równiny! – odparł lekceważąco marynarz.

Stożek ten był pierwszą znaczącą wypukłością olbrzymiego łańcucha Kordylierów.

– Jedźmy prędzej! – powiedział Martinez, dając przykład. – Nasze konie pochodzą z hacjend z północnego Meksyku, a wielokrotnie przemierzając sawanny, przyzwyczajone są do nierówności terenu. Skorzystajmy więc z tych stromych dróg i opuśćmy rozległe pustkowia, które nie są stworzone do tego, aby nas rozweselać!

– Czyżby porucznik Martinez miał wyrzuty sumienia? – zapytał Jose, wzruszając ramionami.

– Wyrzuty!... Nie, skądże!... – Martinez popadł ponownie w absolutne milczenie.

Dwaj jeźdźcy podążali żwawym klusem na swych wierzchowcach. Wkrótce dotarli na szczyt góry Brea, który osiągnęli, wspinając się krętymi ścieżkami wzdłuż stromych urwisk, nie będących jeszcze tymi niezgłębionymi otchłaniami pasma Sierra Madre. Następnie, po zejściu po przeciwnym zboczu, dwaj jeźdźcy zatrzymali się, aby dać odpocząć koniom.

Słońce zniknęło na horyzoncie, kiedy Martinez i jego towarzysz przybyli do wioski Cigualan. Wioska liczyła zaledwie kilka chat zamieszkałych przez biednych Indian, nazywanych „mansos”, co oznacza rolników. Tubylcy osiadli są w zasadzie bardzo leniwi, ponieważ wystarczy im tylko zbierać bogactwa, które wytwarza ta urodzajna ziemia. To próżniactwo jest główną cechą odróżniającą ich od Indian zamieszkujących wyżej położone części wyżyny, których niedostatek zmusił do zręcznego zdobywania żywności, czy też nomadów z północy, którzy, żyjąc z rabowania i grabieży, nigdy nie zamieszkują na stałe w jednym miejscu.

W tej wiosce Hiszpanie spotkali się z dość chłodnym przyjęciem. Indianie, uznając ich za dawnych ciemnych, okazali się mało skłonni do służenia im pomocą. Poza tym, jeszcze przed nimi, przejeżdżali przez tę wioskę dwaj inni podróżni i zabrali mieszkańcom resztki

zapasów żywności. Porucznik i marynarz nie zwrócili uwagi na ten szczegół, który zresztą nie miał w sobie nic osobliwego.

Martinez i Jose schronili się w jakimś nędznym domostwie i przygotowali na swój posiłek głowę barana. Wygrzebali w ziemi dziurę i, wypełniwszy ją palącym się drzewem i odpowiednimi kamykami, które miały trzymać ciepło, odczekali, aż wypalą się substancje palne. Następnie, na rozżarzonych popiołach, ułożyli bez żadnych przygotowań mięso owinięte aromatycznymi liśćmi i wszystko przykryli szczelnie gałęziami i ubitą ziemią. Jakiś czas później obiad był gotowy. Pochłonęli go jak ludzie, którym długa droga zaostriła apetyt. Po skończonym posiłku rozłożyli się na ziemi ze sztyletami w dłoniach. Wkrótce też zasnęli, gdyż, pomimo twardości posłania i nieustających ukąszeń komarów, zmęczenie wzięło górę.

Jednakże Martinez w niespokojnym śnie powtórzył kilka razy imiona Jacopa i Pabła, których zniknięcie ciągle nie dawało mu spokoju.

### III

#### *Z Cigualan do Taxco*

Nazajutrz o świcie konie były osiodłane i okiełznane. Wędrowcy ruszyli w drogę, podążając na wschód, w kierunku słońca, wijącymi się przed nimi na wpeł przetartymi ścieżkami. Podróż zapowiadała się pod dobrą wróżbą. Gdyby nie milczenie porucznika, tak kontrastujące z dobrym humorem marynarza, można byłoby ich wziąć za najuczciwszych ludzi na Ziemi.

Teren wznosił się coraz bardziej. Wkrótce rozpostarła się przed nimi, aż do granic horyzontu, rozległa równina Chilpancingo, gdzie panuje najłagodniejszy klimat w Meksyku. Ta kraina, należąca do strefy umiarkowanej, położona jest tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza i nie doznaje ani upałów terenów niżej położonych, ani chłódów wyższych stref. Pozostawiając tę oazę po swojej prawej stronie, dwaj Hiszpanie przybyli do małej wioski San Pedro i po trzygodzinnym postoju ruszyli w dalszą drogę, kierując się ku miasteczku Tutela del Rio.

– Gdzie będziemy dzisiaj nocować? – zapytał Martinez.

– W Taxco! – wyjaśnił Jose. – W porównaniu z tymi miasteczkami jest to duże miasto, poruczniku!

– Znajdzie się tam dobra oberża?

– Tak, pod pięknym niebem i we wspaniałym klimacie! Tam słońce jest mniej palące niż nad brzegiem morza. Może się tak zdarzyć przy tej ciągłej wspinaczce, że wcale nie zauważymy, jak będziemy marznąć na wierzchołkach Popocatepetl.

– Jose, kiedy przekroczymy góry?

– Pojutrze wieczorem, poruczniku, i z ich szczytów dostrzeżemy, co prawda bardzo oddalony, kres naszej podróży – złote miasto Meksyk! Wie pan, o czym myślę, poruczniku?

Martinez nie odpowiedział.

– Zadaję sobie pytanie, co się stało z oficerami okrętu i brygu, których porzuciliśmy na bezludnej wysepce?

Martinez zadrzał.

– Nie wiem!... – odrzekł głucho.

– Chciałbym wierzyć – ciągnął dalej Jose – że wszystkie te dumne osobistości umarły z głodu! Poza tym, kiedy przewoziliśmy ich na ląd, wielu z nich wpadło do morza, a w tych okolicach żyje gatunek rekina, bezlitosna tintorea, czyli żarłacz tygrysi. *Santa Maria!* Gdyby kapitan Orteva zmartwychwstał, musielibyśmy ukryć się w brzuchu wieloryba! Ale jego głowa szczęśliwie znalazła się na wysokości bomu w chwili, kiedy szoty w tak dziwny sposób zerwały się...

– Zamilcz! – warknął Martinez.

Marynarz nie odezwał się ani słowem.

– „Dręczą go skrupuły” – rzekł do siebie w duchu Jose. – W tej chwili myślę – podjął na głos – że gdy skończy się ta wyprawa, zamieszkać Meksyku, w tym uroczym kraju, gdzie

żegluję się pomiędzy ananasami i bananami, można zaś osiąść na rafie zbudowanej ze srebra i złota!

– To dlatego zdradziłeś? – zapytał Martinez.

– Dlaczego nie, poruczniku? Kwestia pieniędzy!

– Ach! – stwierdził z Martinez z obrzydzeniem.

– A pan? – drążył Jose.

– Ja?... Sprawa hierarchii! Jako porucznik chciałem przede wszystkim zemścić się na kapitanie!

– Ach tak!... – rzucił pogardliwie Jose.

Ci dwaj ludzie wari byli jeden drugiego, bez względu na pobudki, jakie nimi kierowały.

– Cicho!... – powiedział Martinez, zatrzymując się nagle. – Co ja tam widzę?

Jose uniósł się w strzemionach.

– Nie ma nikogo – odrzekł.

– Widziałem człowieka, który natychmiast zniknął! – powtórzył Martinez.

– Złudzenie!

– Widziałem go! – potwierdził zniecierpliwiony porucznik.

– To niech go pan szuka, jeśli taka pańska wola!...

I Jose ruszył w dalszą drogę.

Martinez podążył sam ku kępie drzew mangrowych, których gałęzie, z chwilą kiedy dotkną ziemi, ukorzeniają się, tworząc nieprzebyte zarośla.

Porucznik zsiadł z konia. Wokoło rozciągało się całkowite pustkowie.

Nagle spostrzegł rodzaj spirali, poruszającej się w cieniu. Był to niedużych rozmiarów wąż, którego zmiażdżona głowa przygnieciona była kawałkiem skały, a tylna część ciała jeszcze się zwijała, jak gdyby była naładowana elektrycznością.

– Tutaj ktoś był! – wykrzyknął porucznik.

Martinez, zabobonny, poczuwający się do winy, rozglądał się na wszystkie strony. Zaczął drżeć z przerażenia.

– Kto to mógł być? Kto?... – wyszeptał.

– No i co? – zapytał Jose, który dogonił swojego towarzysza.

– Nic takiego – odparł Martinez. – Jedźmy!

Podróżni podążyli wzdłuż brzegów Mexali, małego dopływu rzeki, jadąc w kierunku jego źródła. Wkrótce dym unoszący się w powietrzu zdradził obecność tubylców i wreszcie ukazało się miasteczko Tutela del Rio. Ale Hiszpanie opuścili je po krótkim odpoczynku, bowiem śpieszno im było dotrzeć przed nocą do Taxco.

Droga stawała się coraz bardziej stroma, toteż wierzchowce mogły posuwać się jedynie stępa. Tu i ówdzie na zboczach gór ukazywały się gaje oliwne. Odtąd można było dostrzec wyraźne zmiany w ukształtowaniu terenu, temperaturze oraz występującej roślinności.

Wkrótce zapadł wieczór. Martinez podązał o kilka kroków za swoim przewodnikiem. Jose z trudem orientował się w nieprzeniknionych ciemnościach. Szukał ścieżek, którymi można było posuwać się naprzód, co chwila przeklinając to na pniaki, o które się potykał, to na gałęzie smagające go po twarzy, co groziło zgaszeniem doskonałego cygara, które właśnie palił.

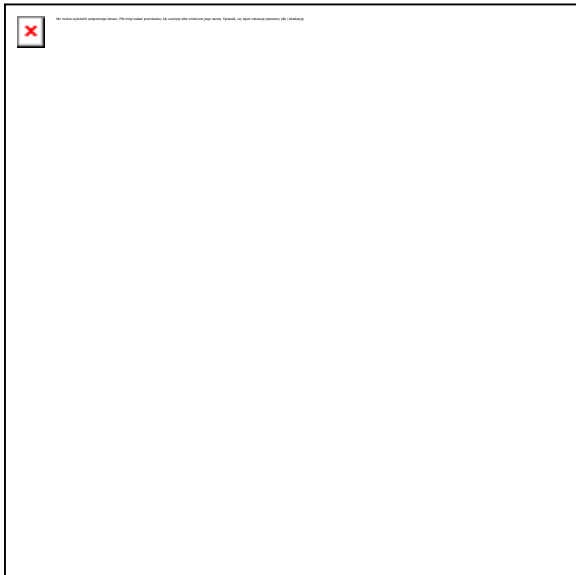
Porucznik pozwolił iść swemu koniowi za koniem towarzysza. Zmagał się z dopadającymi go wyrzutami sumienia. Nie zdawał sobie sprawy z obsesji, która powoli go ogarniała.

Zapadła głęboka noc. Podróżni przyspieszyli kroku. Nie zatrzymując się, minęli małe osady Contepec oraz Iguala i przybyli do miasta Taxco.

Jose mówił prawdę. W porównaniu do nędznych miścin, które pozostawili za sobą, było to wielkie miasto. Przy najszerszej ulicy mieściło się coś w rodzaju zajazdu. Oddawszy konie stajennemu chłopcu, weszli do głównej sali, gdzie stał długi i wąski stół, już nakryty.

Hiszpanie zajęli przy nim miejsca, siadając naprzeciwko siebie, i zaczęli spożywać posiłek, który smaczny był tylko dla tubylców, zaś dla podniebień Europejczyków znośnym czynił go jedynie głód. Były to drobiny kurczaka pływające w sosie z zielonego pieprzu, porcje ryżu doprawione czerwoną papryką i szafranem, stary drób faszerowany oliwkami, rodzynkami, orzeszkami ziemnymi, cebulą, słodką dynią, ciecierzycą, nazywaną tu carbanzos i portulaką. Do wszystkiego tego dawane były „tortillas”, rodzaj placków kukurydzianych upieczonych na żelaznej blasze. Po posiłku serwowano napoje.

Jakkolwiek by nie było, pominąwszy walory smakowe, głód został zaspokojony, a zmęczenie spowodowało, że Martinez i Jose obudzili się dopiero gdy dzień stał już wysoko.





## IV

### *Z Taxco do Cuernavaca*

Porucznik wstał pierwszy.

– Jose, ruszamy w drogę! – powiedział.

Marynarz przeciągnął się.

– Jaką drogą pojedziemy? – zapytał Martinez.

– Znam dwie, poruczniku.

– To znaczy jakie?

– Jedna, która prowadzi przez Zacualican, Tenancingo i Toluca. Gdy już zdołamy wdrapać się na Sierra Madre, to z Toluca do Meksyku droga jest bardzo wygodna.

– A druga?

– Druga odsuwa nas nieco na wschód, ale również prowadzi w pobliżu wyniosłych gór Popocatepetl i Ictacihualt. Ta droga jest pewniejsza, ponieważ jest mniej uczęszczana. Będzie to piękny, piętnastomilowy spacer po mocno pochylonych zboczach!

– Wybieram tę dłuższą! Ruszajmy! – zarządził Martinez. – Gdzie będziemy nocować dzisiejszego wieczoru?

– Gdy popłyniemy z szybkością sześciu węzłów, to w Cuernavaca – odparł marynarz.

Obydwaj Hiszpanie udali się do stajni aby osiodłać konie, napełnili *mochillas*, to jest rodzaj sakw, które stanowią część uprzęży, kukurydzianymi plackami, owocami granatu i suszonym mięsem, ponieważ w górach mogli nie znaleźć wystarczającej ilości pożywienia. Po zapłaceniu należności dosiedli koni i podążyli w dalszą drogę.

Po raz pierwszy zobaczyli dąb, drzewo dobrej wróżby, u którego stóp zatrzymują się niezdrowe wyziewy dochodzące z niżej zalegających płaskowzgórzy. Na tych równinach, położonych około tysiąca pięciuset metrów powyżej poziomu morza, rośliny sprowadzone tu w czasie podboju Meksyku wymieszały się z miejscową florą. W tej żyznej oazie rozciągały się pola wszelkich europejskich zbóż. Występowały tutaj obok siebie, mieszając swoje listowie, drzewa pochodzące z Azji i Francji. Kwiaty Wschodu, połączone z fiołkami, chabrami, werwą i stokrotkami stref umiarkowanych, ubarwiały zielone kobierce. Tu i ówdzie pejzaż ozdabiała kilka wykrzywionych krzewów żywicznych, a węż mile podrażniały słodkie wyziewy wanilii, schronionych w cieniu amyrisów, i ambrowców. Tak więc ci dwaj awanturnicy dobrze się czuli w tej średniej temperaturze dwudziestu do dwudziestu dwóch stopni, zwykle panującej w regionach Xalapa i Chilpancingo, znanych pod nazwą „krain umiarkowanych”.

Tymczasem Martinez i jego towarzysz wspinali się coraz bardziej na płaskowyż Anahuac, przekraczając poważne przeszkody kształtujące Wyżynę Meksykańską.

– Nareszcie! – wykrzyknął Jose. – Oto pierwszy z potoków, które musimy pokonać!

Istotnie, przed wędrowcami ukazała się rzeka, płynąca wąskim korytem między wysokimi brzegami.

– W czasie mojej ostatniej podróży ten potok był suchy – powiedział Jose. – Niech pan idzie za mną, poruczniku.

Obydwaj zeszli dosyć łagodnym stokiem wyżłobionym w skałach i dotarli do brodu, który z łatwością można było przebyć.

– Jeden mamy za sobą! – rzucił Jose.

– Czy inne są równie łatwe do pokonania? – zapytał porucznik.

– Oczywiście, poruczniku – odparł Jose. – Kiedy w porze deszczowej owe potoki wzbiorą, to wpadają do małej rzeki Ixtolucca, którą napotkamy w wysokich górach.

– Czy nie musimy się niczego obawiać na tym odludziu?

– Niczego, chyba tylko meksykańskiego sztyletu!

– To prawda – przytaknął Martinez. – Ci Indianie z wysoko położonych regionów tradycyjnie są wierni sztyletowi.

– Podobnie – mówił dalej marynarz, śmiejąc się – jak słowa określające ich ulubioną broń: *estok, verdugo, puna, anchilo, beldok, nawacha!* Te nazwy pojawiają się równie szybko na ich ustach, jak sztylet w ich rękę! *Santa Maria!* Tym lepiej dla nas! Przynajmniej nie musimy obawiać się niewidzialnych kul wyrzucanych z długich karabinów! Nie znam nic bardziej przykrego jak nieświadomość, kim jest nikczemnik, który cię zabija!

– Jacy Indianie zamieszkują te góry? – dopytywał się Martinez.

– Ech, poruczniku, któż może zliczyć te przeróżne rasy, które tak licznie występują w tym meksykańskim Eldorado! Przyjrzyjmy się raczej tym wszelkim krzyżówkom, które dokładnie przestudiowałem z zamiarem zawarcia któregoś dnia korzystnego małżeństwa! Znajdzie się tutaj metys, zrodzony z Hiszpana i Indianki; castizan zrodzony z metyski i Hiszpana; mulat, zrodzony z Hiszpanki i murzyna; morisca, zrodzony z mulatki i Hiszpana; albina, zrodzony z kobiety morisca i Hiszpana; tornatras, zrodzony z albina i Hiszpanki; tintinclaire, zrodzony z tornatras i Hiszpanki; lobo, zrodzony z Indianki i Murzyna; cambuyo, zrodzony z Indianki i lobo; barquino, zrodzony z coyote i mulatki; grifo, zrodzony z Murzynki i lobo; albarazado, zrodzony z coyote i Indianki; chanisa, zrodzony z metyski i Indianina; mechino, zrodzony z kobiety lobo i coyote!

Jose mówił prawdę, a czystość ras, mocno w tych okolicach problematyczna, czyni studia antropologiczne bardzo niepewnymi.

W przeciwieństwie do marynarza, toczącego uczone wywody, Martinez bezustannie milczał i był całkowicie zamknięty w sobie. Nawet chętnie oddalał się od swojego towarzysza, którego obecność zdawała mu się ciężać.

Wkrótce przecięły im drogę dwa następne potoki. Porucznik, widząc ich suche łożyska, stanął rozczarowany, ponieważ liczył, że zdołają tutaj napoić konie.

– Jesteśmy jak podczas ciszy morskiej, poruczniku, bez żywności i wody – powiedział Jose. – Nic to! Proszę iść za mną! Poszukajmy wśród dębów i wiązów drzewa, które tutaj nazywa się „ahuehuelt”, i które zastępuje z powodzeniem wiechcie słomy, którymi dekoruje się oberże. W ich cieniu zawsze można napotkać tryskające źródło i jeżeli nawet jest to tylko woda – cóż robić, powiem panu, że na pustyni i woda staje się winem!

Jeźdźcy okrążyli masyw i wkrótce znaleźli drzewo, o którym była mowa. Ale obiecany źródół był wyschnięty i można było nawet zauważyć, że stało się to całkiem niedawno.

– To dziwne! – rzekł Jose.

– Doprawdy, to zdumiewające! – odparł Martinez, blednac. – W drogę, w drogę!

Aż do miłośnicy Cacahuimilchan podróżni nie zamienili ani jednego słowa. Tam ulżyli nieco swoim *mochillas*, spożywając posiłek. Następnie skierowali się na wschód, podążając do Cuernavaca.

Kraina przedstawiała się jako wyjątkowo urwista, pozwalając domyślać się gigantycznych szczytów, których bazaltowe wierzchołki zatrzymywały chmury napływające znanad wielkiego oceanu. Po obejściu rozległej skały ukazał się, zbudowany przez antycznych Meksykanów, fort Cochicalcho, którego wyniesienie zajmuje dziewięć tysięcy metrów kwadratowych. Podróżni skierowali ku olbrzymiemu stożkowi, stanowiącemu jego podstawę, i wieńczącym go, kołyszącym się skałom i pokrzywionym ruinom.

Po zejściu z koni i przywiązaniu ich do pnia wiązu, Martinez i Jose, wykorzystując nierówności terenu i pragnąc sprawdzić kierunek drogi, wspięli się na szczyt stożka.

Zapadająca noc, ubierając przedmioty w niewyraźne kontury, nadawała im fantastyczne kształty. Stary fort podobny był bardzo do olbrzymiego, siedzącego bizona z nieruchomą głową, a niespokojny wzrok Martineza zdawał się dostrzegać cienie poruszające się po ciele tego monstrualnego zwierzęcia. Porucznik milczał jednak, aby nie dać powodu do kpin temu niedowiarkowi Josemu. Tymczasem marynarz posuwał się ostrożnie górkimi ścieżkami, a kiedy zniknął za jakimś zakrętem, naprowadzał towarzysza swymi głośnymi okrzykami „Święty Jakubie!” i „*Santa Maria!*”

Nagle wielki nocny ptak, wydając chrapliwy krzyk, uniół się ociężale na szerokich skrzydłach.

Martinez stanął w miejscu.

Trzydzieści stóp powyżej niego olbrzymi fragment skały zakołysał się w swoich podstawach. Nagle blok oderwał się i, gruchocząc wszystko na swej drodze, z szybkością i hukiem pioruna runął w przepaść.

– *Santa Maria!* – krzyknął marynarz. – Ahoj, jest pan tam, poruczniku?

– Jose?

– Tędy, poruczniku!

Obaj Hiszpanie spotkali się.

– Co za lawina! Schodzimy – zdecydował Jose.

Martinez poszedł za nim bez słowa i wkrótce znaleźli się na niższym płaskowyzu.

Tam szeroka bruzda znaczyła przejście skały.

– *Santa Maria!* – wykrzyknął Jose. – Nasze konie zniknęły, zapewne zostały zmiżdżone i zabite!

– Na Boga, czy to prawda? – jęknął Martinez.

– Proszę spojrzeć!

Istotnie, drzewo, do którego były przywiązane oba konie, zniknęło razem z nimi.

– Gdybyśmy tam byli... – westchnął filozoficznie marynarz.

Martineza ogarnęło niewysłowione uczucie strachu.

– Wąż... źródło... lawina!... – mamrotał.

Nagle rzucił się ku Josemu z obłąkanym wzrokiem.

– Czy to aby ty nie wspomniałeś o kapitanie don Ortevie? – wykrzyczał z ustami wykrzywionymi złością.

Jose cofnął się.

– Bez szaleństwa, poruczniku! Złóżmy naszym koniom wyrazy podziękowania i w drogę! Nie należy pozostawać tutaj, kiedy stara góra potrząsa swoją grzywą!

Nic już nie mówiąc, Hiszpanie ruszyli w dalszą drogę i w środku nocy przybyli do Cuernavaca. Niestety, zdobycie koni okazało się niemożliwe, zatem rankiem następnego dnia poszli piechotą w kierunku góry Popocatepetl.

### *Od Cuernavaca do Popocatepetl*

Panowała niska temperatura i prawie nie widać było roślinności. Te nieprzystępne wyniosłości należą do stref lodowatych, nazywanych „ziemiemi zimnymi”. Już nawet pomiędzy ostatnimi dębami, rosnącymi tak wysoko, zaczęły pojawiać się gołe sylwetki świerków z dalekich krain i coraz rzadziej w tym gruncie złożonym w przeważającej części z popękanych trachitów i porowatych migdałowców znaleźć było można źródła.

Od sześciu godzin porucznik i jego towarzysz wlekli się z trudem, kalecząc ręce o ostre krawędzie skał, a stopy o leżące na drodze ostre kamienie. W końcu, wskutek niewymownego znużenia, musieli się zatrzymać. Jose zajął się przygotowaniem jakiegoś pożywienia.

– To był przeklęty pomysł, aby iść tą drogą! – mamrotał pod nosem.

Obydwaj mieli nadzieję, iż znajdą w Aracopistla, wiosce całkowicie zagubionej w górach, jakiś środek transportu, aby wygodniej zakończyć podróż. Jakież było więc ich rozczarowanie, gdy zastali tam jedynie ten sam niedostatek, absolutny brak wszystkiego i tę samą niegościnnosć, co w Cuernavaca! Mimo wszystko trzeba było kontynuować podróż.

Przed nimi wznosił się olbrzymi stożek Popocatepetl, tak wysoki, że wzrok gubił się w chmurach, szukając wierzchołka tej góry. Droga, którą szli, była rozpaczliwie wyjałowiona. Ze wszystkich stron, między występami terenu, otwierały się niezgłębione przepaście, a ścieżki, mogące przyprawić o zawrót głowy, zdawały się chwiać pod stopami wędrowców. Aby rozeznąć się w dalszej drodze, musieli wdrapać się na tę górę, wysoką na pięć tysięcy czterysta metrów, przez Indian nazywaną „Dymiącą Skałą”, która nosiła jeszcze ślady niedawnych wybuchów wulkanicznych. Strome jej stoki przecinały posępne i głębokie szczeliny. Od czasu ostatniej tu bytności Josego nowe kataklizmy tak wstrząsnęły tym odludziem, że marynarz nie umiał zorientować się w okolicy. Toteż gubił się pośród tych drózek niemożliwych do przebycia, od czasu do czasu zatrzymywał się i nadśluchiwał, gdyż tu i ówdzie ze szczelin przecinających stożek słycać było głuche pomruki.

Słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi. Ciężkie chmury, zasnuwające całe niebo, czyniły atmosferę jeszcze bardziej ponurą. Zapowiadało się na deszcz i burzę, zjawiska często występujące w tych okolicach, gdzie wzniesienie terenu przyspiesza parowanie wody. Na tych zboczach, których wyżej położone partie pokrywały wieczne śniegi, nie można było napotkać żadnego śladu roślinności.

– Już nie mam siły iść dalej! – rzucił w końcu Jose, padając ze zmęczenia.

– Nie możemy się zatrzymywać! – odparł porucznik Martinez z gorączkową niecierpliwością.

W chwilę potem kilka grzmotów zakołatało w rozpadlinach Popocatepetl.

– Chyba diabeł tu namieszał, że nie mogę odnaleźć się pośród tych poplątanych ścieżek! – jęknął Jose.

– Wstawaj i idziemy! – powiedział szorstko Martinez.

I zmusił chwiejącego się na nogach Josego do ruszenia w dalszą drogę.

– Żadnej ludzkiej istoty, aby nas poprowadziła! – mruczał marynarz.

– Tym lepiej! – rzucił porucznik.

– A więc pan nie wie, że każdego roku w Meksyku popełnia się tysiąc zbrodni i że w tych stronach nie jesteśmy wcale bezpieczni!

– Tym lepiej! – powiedział porucznik.

Na złomach skalnych, oświetlonych ostatnimi promieniami dnia, błyszczały tu i ówdzie wielkie krople deszczu.

– Co zobaczymy, kiedy już pokonamy otaczające nas szczyty? – zapytał porucznik.

– Na lewo Meksyk, na prawo Puebla, o ile cokolwiek zobaczymy! – odrzekł Jose – Lecz niczego nie dojrzymy, bowiem robi się zbyt ciemno!... Przed nami powinna być góra Ictacihualt, a w wąwozie porządna droga! Lecz czy się nam uda do niej dotrzeć?!

– Idziemy!

Jose mówił prawdę. Płaskowyż w okolicy miasta Meksyk zamknięty jest olbrzymim czworobokiem gór. Jest to rozległy owalny basen, mający osiemnaście mil francuskich długości, dwanaście szerokości i sześćdziesiąt siedem obwodu, otoczony wysokimi występami skalnymi, pomiędzy którymi wyróżniają się, na południowym zachodzie, Popocatépetl i Ictacihualt. Po przybyciu na szczyt tych barier wędrowiec napotyka już tylko jedną przeszkodę, by zejść na płaskowyż Anahuac, bowiem dalej, w kierunku północnym, aż do samego miasta Meksyk, ciągnie się dobra i wygodna droga. Spoglądając poprzez długie aleje wiązów i topoli można było podziwiać cyprysy posadzone przez władców azteckiej dynastii i pieprzowce peruwiańskie, podobne do płaczących wierzb Zachodu. Gdzieś tam zaorane pola i ogrody w kwiatkach wydawały swoje zbiory, a jabłonie, granatowce i wiśnie oddychały swobodnie pod tym ciemnobłękitnym niebem, które czyni powietrze suchym i rozrzedzonym z powodu swego położenia.

Odgłosy grzmotów rozlegały się w górach z niezwykłą gwałtownością. Echa stawały się donioślejsze, gdy niekiedy na chwilę milkły deszcz i wiatr.

Jose przeklinał na każdym kroku. Porucznik Martinez, błądzący i milczący, rzucał złe spojrzenia na swojego towarzysza, jawiącego się mu jako współwinowajca, którego chciałby się pozbyć!

Nagle błyskawica rozświetliła ciemności! Marynarz i porucznik znajdowali się na skraju przepaści!...

Martinez podszedł żywo do Josego. Położył mu rękę na ramieniu i, gdy ucichły ostatnie odgłosy grzmotu, powiedział:

– Jose!... boję się!

– Boisz się burzy?

– Nie obawiam się nawałnicy niebios, Jose, ale burzy, która rozpętała się we mnie!

– Ach! Pan ciągle myśli o don Ortevie!... Ależ, poruczniku, pan mnie rozśmiesza! – odparł Jose, który jednak wcale się nie śmiał, widząc, że Martinez spogląda na niego błędnym wzrokiem.

Wtem rozległo się straszliwe uderzenie pioruna.

– Zamknij się Jose, zamknij się! – krzyknął Martinez, który już zdawał się nie panować nad sobą.

– Noc jest dobrze wybraną porą na prawienie mi morałów! – zauważył marynarz. – Jeśli się pan boi, poruczniku, to niech pan zamknie oczy i zatka uszy!

– Wydaje mi się – krzyknął Martinez – że widzę kapitana... don Ortewę... ze strzaskaną głową!... tam... tam!...

Czarny cień, oświetlony białawą błyskawicą, wyrósł jakieś dwadzieścia kroków od porucznika i jego towarzysza.

W tej samej chwili Jose zobaczył obok siebie Martineza, bladego, wzburzonego i złowrogiego, ze sztyletem w dłoni!

– Co to ma znaczyć?... – krzyknął.

Błyskawica oświetliła ich obu.

– Na pomoc! – zawołał Jose.

Na miejscu pozostał tylko trup. Nowy Kain, z zakrwawioną bronią w ręku, uciekał w centrum nawałnicy.

Kilka chwil później dwóch mężczyzn pochyliło się nad trupem marynarza, mówiąc:

– Następny!

Martinez błąkał się jak szalony po tym ponurym odludziu. Biegł z gołą głową wśród deszczu, który lał jak z cebra.

– Na pomoc! Na pomoc! – wył, potykając się na śliskich skałach.

Wtem usłyszał dochodzący z głębi odgłos jakby wrzenia.

Rozejrzał się i zrozumiał, że to huk przetaczającej się wody.

Była to mała rzeka Ixtolucca, płynąca pięćset stóp poniżej.

O kilka kroków dalej, nad rwącym nurtem potoku, przerzucony był most zrobiony z włókien agawy. Przytrzymywany przez pale wbite w skały po obu stronach rzeki, kołysał się na wietrze jak nitka zawieszona w przestrzeni.

Martinez, czepiając się lian, posuwał się, czołgając się po moście. Wysiłając całą swoją energię, zdołał dotrzeć do przeciwległego brzegu...

Tam ukazał mu się jakiś cień...

Martinez, nie wydając żadnego dźwięku, cofał się w kierunku brzegu, który przed chwilą opuścił.

Lecz z tej strony pojawiła się także jakaś ludzka postać.

Porucznik zawrócił i na klęczkach dotarł do połowy mostu, zaciskając dłonie i kuląc się z przerażenia!

– Martinez, jestem Pablo! – usłyszał z jednej strony.

– Martinez, jestem Jacopo! – powiedział drugi głos.

– Zdradziłeś!... Musisz umrzeć!

– Zabiłeś!... Musisz umrzeć!

Rozległy się dwa głuche uderzenia. Pale podtrzymujące z obu końców most padły pod ciosami siekier.

Rozległ się straszliwy ryk przerażenia i Martinez, z rozpostartymi rękami, spadł w przepaść.

\*\*\*

Kadet i bosman spotkali się, przebywszy w bród rzekę Ixtolucca, o jakąś milę poniżej mostu.

– Pomściłem don Ortewę! – rzekł Jacopo.

– A ja pomściłem Hiszpanię! – dodał Pablo.

\*\*\*

W ten sposób narodziła się marynarka wojenna Konfederacji Meksykańskiej. Dwa okręty hiszpańskie dostarczone przez zdrajców pozostały w nowej republice i stały się zalążkiem małej flotyli, która walczyła jeszcze z okrętami Stanów Zjednoczonych Ameryki o Teksas i Kalifornię.



## Przypisy

1 Wyspa Guajan – obecna nazwa Guam, od 1898 roku należąca do Stanów Zjednoczonych.

2 Mariany, Wyspy Mariańskie – jeden z archipelagów Mikronezji, położony w zachodniej części Oceanu Spokojnego. Stanowi południkowy łańcuch 15 wysp wulkanicznych, otoczonych rafami koralowymi. Powierzchnia 953 km<sup>2</sup>.

3 Kapitanat generalny – jednostka administracyjna wicekrólestwa w kolonialnej Hiszpanii; pierwszym kapitanatem było Santo Domingo (1540).

4 Mindanao – jedna z wysp Archipelagu Malajskiego, położona najbardziej na południe, druga co do wielkości wyspa Filipin.

5 bezangafel – gafel (ruchome drzewce masztu, na którym zawieszają się flagi) tylnego masztu.

6 Małe Wyspy Sundajskie – archipelag w Południowo-Wschodniej Azji, część Archipelagu Malajskiego położona na wschód od Jawy, tworząca równoleżnikowy łańcuch ok. 40 wysp o łącznej powierzchni 88 539 km<sup>2</sup>, pomiędzy morzami: Jawajskim, Flores i Banda na północy oraz Oceanem Indyjskim i Morzem Timorskim na południu.

7 hals, halsowanie – wykonywanie kolejnych zwrotów (halsów) przez statek, który zamierza dostać się do punktu położonego z tej strony, z której wieje wiatr.

8 Nowa Holandia – dawna nazwa Australii.

9 płynąć pełnym baksztagiem – płynąć, mając wiatr wiejący od rufy, którego kierunek jest odchyłony od osi statku o około 15-30 stopni.

10 karonada – rodzaj działa okrętowego o krótkiej lufie.

11 węzeł – miara prędkości, wynosząca 1 milę (1852 m) na godzinę.

12 brasy – liny olinowania ruchomego, służące do manewrowania reją; brasowanie – ustawianie rei pod wymaganym kątem do osi wzdłużnej jachtu.

13 szoty – liny olinowania ruchomego, służące do manewrowania żaglem, czyli ustawiania go w pożądanym położeniu w stosunku do wiatru.

14 bajdewind – kurs jachtu względem wiatru, gdy wiatr wieje skośnie od dziobu; płynąć ostro do wiatru – kierować statek, o ile się da, na kierunek, z którego wieje wiatr.

15 zawietrzna – burta statku przeciwna do tej, na którą wieje wiatr.

16 bezan – żagiel gafłowy na tylnym maszcie.

17 Bom – drzewce ruchome, ustawione równoległe do pokładu, służące do mocowania żagla.

18 Manila – stolica Filipin. Położona w środkowej części wyspy Luzon, nad rzeką Pasig, u jej ujścia do Zatoki Manilskiej (Morze Południowochińskie).

19 Meksyk – miasto, stolica Meksyku (Meksykańskich Stanów Zjednoczonych).

20 baksztag – kurs statku względem wiatru, gdy wiatr wieje skośnie od rufy; pełny baksztag – gdy wiatr wieje z kątów zawartych między osią a trawersem statku, wynoszących około 30-60 °.

- 21 Acapulco – miasto w południowo-zachodnim Meksyku, nad Oceanem Spokojnym, w stanie Guerrero.
- 22 reda – obszar wodny leżący przed wejściem do portu, służy do postoju statków czekających na kotwicy.
- 23 *chargé d'affaires* – przedstawiciel dyplomatyczny trzeciej klasy, niższy rangą od ambasadora i posła.
- 24 lik żagla – krawędź, brzeg żagla, obszyty likliną.
- 25 pawęż – płaski element konstrukcyjny, stanowiący zakończenie rufy.
- 26 Guadalupe Victoria (u Verne'a Guadalupe Vittoria), właściwie Manuel Félix Fernández (1786-1843) – niepodległościowy działacz meksykański, Metys. Uczestnik powstania w 1810 r. W latach 1824-1829 sprawował urząd pierwszego prezydenta republiki.
- 27 80 mil (lieues) – około 320 km; używana jest tu mila francuska, licząca około 4 km.
- 28 *Santa Maria!* (hiszp.) – Matko Święta!.
- 29 bombramreja – najwyższa, piąta, czasami szósta reja na maszcie.
- 30 sztormów panujących w zatoce – idzie tutaj o Zatokę Biskajską.
- 31 Taspan, Santander – miasta w Hiszpanii, nad Zatoką Biskajską.
- 32 palma wachlarzowa (*Chamaerops excelsa*) – gatunek palmy.
- 33 nopal, kaktus pustynny – odmiana opuncji z rodziny kaktusowatych.
- 34 hacjenda
- 35 drzewa mangrowe – opis Verne'a jest prawidłowy, lecz wydaje się, że w tym rejonie Meksyku nie powinny one występować.
- 36 piętnaście mil – około 60 kilometrów.
- 37 amyris – drzewo z rodziny rutowatych, zawierające dużo olejków eterycznych, używanych często zamiast olejków z drzewa sandałowego; ambrowiec – drzewo z rodziny oczarowatych, zawierające olejki eteryczne i balsamy.
- 38 krainy umiarkowane – Meksyku, w zależności od położenia nad poziomem morza wyróżnia się następujące krainy klimatyczne: *tierra caliente* – „ziemie gorące” (0-900 m); *tierra templada* – „ziemie umiarkowane” (900-1800 m); *tierra fria* – „ziemie chłodne” (1800-4300); *tierra helada* – „ziemie mroźne” (pow. 4300 m).
- 39 estok – właściwie miecz używany w Europie jako broń kłująca.
- 40 Po hiszpańsku: *cuarteron*.
- 41 Po hiszpańsku: *monisque*.
- 42 Po hiszpańsku: *albino*.
- 43 Po hiszpańsku: *tinticlaro*.
- 44 Po hiszpańsku: *caribujo*.
- 45 Po hiszpańsku: *barcino*.
- 46 Po hiszpańsku: *chanizo*.
- 47 trachit – magmowa skała wylewna, zaliczana do porfirów bezkwarcowych.

48 migdałowiec – dawna nazwa odmiany magmowej skały wylewnej, posiadającej strukturę migdałowcową, to znaczy z występującymi w masie podstawowej dużymi pęcherzami wypełnionymi minerałami wtórnymi.

49 płaskowyż – Verne używa tego słowa, natomiast w nomenklaturze geograficznej stosuje się nazwę Kotliny Meksyku (miasta).